

**Pilecki Antoni**

**OBRAZKI  
Z ŻYCIA KOBIECEGO**

I.  
BEZ JUTRA.

Darujcie, łaskawe czytelniczki, że odrazu na smutną, nutę  
nastroję niniejsze  
opowiadanie, przenosząc myśl waszą, w miejsce żalu, boleści  
i głuchej rozpaczy.  
Jesteśmy na cmentarzu.... Nad świeżą mogiłą, stoi nieliczna  
drużyna. Zimne łono  
ziemi pochłania nową ofiarę. Żałośna nuta pogrzebowej pieśni  
odbija się, ponurem  
echem od gładów cmentarnych. Na twarzach obecnych różne  
malują; się uczucia.  
Jedni przyszli tu z chłodną, obojętnością, w sercu, jakby z  
konwenansowem  
pożegnaniem na zawsze znajomej osoby; inni z wytartą  
monetą powszednich uczuć, z  
chwilowym żalem po towarzyszu czy towarzyszce życia; na  
kilku tylko twarzach  
głębsze malowało się uczucie. Lecz oto przy trumnie stoi  
czarno ubrana postać z  
wyrazem martwej rozpaczy na twarzy, z głową pochyloną na  
piersi i załamanemi  
rękoma. Spojrzawszy na ten posąg boleści, odgadniesz odrazu,  
że stoi nad trumną

najdroższej istoty, do której wiąże go nic najserdeczniejszych  
uczuć.

Głucho jęko wieko trumny, kiedy obojętne i życzliwe dłonie  
rzuciły nań grudy

zimnego piasku, a jednocześnie zawtórzył głuchy jęk piersi  
kobiecej, i jakieś

ciało upadło na ziemię. Niema zaiste bardziej ponurej i  
przerazającej melodii

nad te dwa bratnie jęki.

Ale rzućmy zasłonę na żałosny ten obraz i podążmy z  
bohaterką naszego

opowiadania do osamotnionej siedziby na jednej

z drugorzędnych ulic Warszawy. Jesteśmy w skromnym  
mieszkanku, złożonym z dwóch

pokoików i kuchenki. Całe urządzenie i umeblowanie obok  
cech ubóstwa odznacza

się pewnym gustem i elegancją, świadczącą, że właścicielki  
tej siedziby

przywykły do innego życia. Między sprzętami znajdują się  
różne ozdobne cacka —

pamiątki lepszej przeszłości. Nie będziemy szczegółowo  
opisywali wam, łaskawe

czytelniczki, tej skromnej siedziby, gdzie na każdym kroku  
znać było rączkę

jakiegoś białego aniołka. Przypatrzcie się swoim własnym  
gniazdeczkom, a

będziecie miały wierny obraz uroczego schronienia.

Widzimy tu jednakże pewne zaniedbanie, które każe się  
domyślać, że w tem cichem

ustroniu zdarzyło się coś niespodziewanego, że może jakaś burza życia przeszła tędy.

Pusto i głucho w obu izdebkach. Mrok wieczorny pokrywa wszystko jakąś

tajemniczą, szatą, jakby kirem żałobnym.

Ukryta w ciemności, spoczywa na kozetce w nieruchomym odrętwieniu czarno ubrana

postać kobieca. Zdaje się być na pół martwą istotą; wzrok jej osłupiały, w jeden

punkt zwrócony, nie spostrzega nic około siebie. Trudno wyczytać z niego, jakie

uczucia miotają duszą kobiety. Śnać oszołomiona gromem nieszczęścia, pozostaje w

tej przejściowej fazie odrętwienia, kiedy biedny rozbitek nie pojmuje jeszcze

ogromu niedoli, widzi tylko, że mu coś wyrwano z piersi, że wkoło jakaś pustka

głucha; w uszach brzmi ostatnia nuta pogrzebowej pieśni, przed oczyma stoi

czarne trumny wieko i jacyś ludzie okrutni, co do zimnej składają je ziemi!

Jasny promień księżyca oświecił tę postać zboląłą, i złocistym smugiem spoczął

na bladej twarzyczce młodziutkiego dziewczęcia o pięknych rysach i cudnych

modrych oczętach.

W uroczem, aczkolwiek skromnem schronieniu postać ta wyglądała jak biedny

rozbitek — na gruzach przeszłości.

Pusto i głucho było w tych komnatach, gdzie niedawno dźwięczał słodki głos

matki. Biedne opuszczone dziewczę nie ma już piersi, do którejby przytulić się mogło. Jak słaba latarość, oddana na pastwę wichrom, kto wie, czy wytrzyma burzę życia. Życia!... jak dziwnie brzmi ten wyraz w ustach młodej dziewczyny.

Dotychczas było ono dla niej pustą igraszką; szła po kwiecistej jego niwie bez troski na pogodnym czole, bez myśli o jutrze. A teraz staje przed nią jako groźna zagadka przyszłości!

Marynia (tak się nazywa nasza bohaterka) była córką zamożnych niegdyś rodziców.

Na kwiatach szczęścia przeszło jej życie całe. Jedyłą boleścią, jakiej doznała,

była śmierć ojca. Pod skrzydłem kochającej matki wesoło mijały wiosenne lata

dziewczęcia. Aczkolwiek ze śmiercią ojca stan majątkowy opuszczonych kobiet

znacznie się pogorszył, nie zaznały jednakże biedy. Skromna

emeryturka wystarczała na przyzwoite utrzymanie, a

kochająca matka nie jedną noc

przepędziła nad pracą, aby zarobić na nową sukienkę lub

kapelusik dla swej

jedynaczki. Przewidując myślą każdą zachciankę dziewczęcia, pragnęła usłać jej

kwiatami szczęścia drogę życia, pragnęła zwiać każdą

chmurkę troski z pogodnego

czoła. Nie mając żadnego pojęcia o zasadach wychowania,

kierowała się jedynie

źle zrozumianą miłością rodzicielską. Sama nie pojmowała zadania życia, bo i nie znała go wcale. Z pod opieki rodziców dostała się pod opiekę męża, a i po jego śmierci, mając zapewnione jakie takie utrzymanie, nie zaznała nigdy, co to walka o byt — o kawałek chleba. Życie o własnych siłach było dla niej nieznaną zupełnie krainą. To też nie umiała wprowadzić tam córki swojej. Przyszłość nigdy nie stanęła przed nią z palącą zagadką życia, z bladą marą głodu, upokorzenia i... upadku. Nie przypuszczała, aby kobieta mogła iść po ciernistej drodze bez silnej podpory męskiej, sama... o własnych siłach. Marynia rosła, jak uroczy kwiatek wiosenny; czuwano nad każdym jej krokiem, osłaniano przed burzą życia i wyhodowano sztuczną roślinę o cudnych barwach i woni, ale słabą i nieudolną. Kraina marzeń wykołysała uczucie i wyobraźnię dziewczęcia — tam widziała idealne barwy życia, pełne precudnych promieni; rzeczywistości nie znała zupełnie. O gruntownym wykształceniu jej umysłu niepomyślano bynajmniej, gdyż uważano je za rzecz niepotrzebną dla kobiety. Nie nauczyli też biednego dziewczęcia żadnej pracy pożytecznej, którą na kawałek chleba zarobićby można. Słowem, stworzono jakąś sztuczną roślinę, niezdolną kwitnąć i rozwijać się na otwartym polu życia — istotę, nie przygotowaną do

samoistnego bytu. Nie przewidywano, że kiedyś okrutna dłoń  
losu może odjąć jej  
podporę, wyrwać z domowego ogniska i postawić na szerokiej  
drodze, gdzie, aby  
ostać się i mieć prawo bytu, potrzeba mieć siły. do życia.  
Mamy więc przed sobą słabą efemeryczną istotę. W pierwszej  
chwili osłupienia pod  
gromem boleści nie stanęła jeszcze przed duszą dziewczęcia  
paląca zagadka  
przyszłości.

\* \* \*

Znużenie przemogło boleść; dziewczę zasnęło późno w nocy.  
Lecz spoczynek to był  
tylko dla ciała, a nie dla" duszy. W mózgu roily się  
gorączkowe mary; przed  
wyobraźnią stawały dziwnie chaotyczne obrazy. Z początku  
uroczy sen odsłonił jej  
przeszłość niedawno ubiegłą; widziała się na łonie ukochanej  
matki, czuła gorące

bicie jej serca, oglądała raz jeszcze twarz jej łagodną i  
uśmiechniętą.  
Spoczywały obie na jakiejś kwiecistej łące. Wonny zefir  
pieścił skronie  
dziewczęcia; wokoło leżał przepyszny kwiecisty kobierzec, a  
tysiące ptasząt  
nuciły wesołe piosenki. Nagle grom jakiś uderzył z pogodnego  
nieba; dziewczę

podniosło przestraszone oczy; matki już nie było; została sama jedna — tylko w oddali ujrzała czarną trumnę i ludzi, co ją chowali do ziemi. Chciała biedz, krzyczeć, ale jakaś nieprzeparta siła trzymała ją w miejscu.... Gwałtowna burza uczuć przerwała sen dziewczęcia. Marynia otworzyła oczy i jakimś martwym, osłupiałym wzrokiem spojrzała dokoła. Któs zasztukał do drzwi... — Kto tam? — zapytała strwożona. — Ja!.... stróż!... odezwał się głos za drzwiami. — A czego chcecie? — Pan gospodarz każe, żeby się panienka jak najprędzej wyprowadziła z mieszkania, bo za ostatni kwartał niezapłacone komorne. Dziewczę nic nie odpowiedziało, tylko z wolna podniosło główkę i jakby pragnąc zebrać myśli, przycisnęło obie dłonie do palących skroni. Pierwszy raz stanęło przed nią życie z surowem obliczem, pierwszy raz musiała pomyśleć o przyszłości. Długo... długo zbierała rozproszone myśli. W duszy odżył cały ogrom świeżej boleści, i gorzkie łzy rozpaczy zrosiły blade lica. Jak rozbitek na głębokich falach morza, nie wiedziała, co począć, w którą zwrócić się stronę. Wiedziała tylko, że trzeba opuścić to miejsce, gdzie cała przeszłość żyła niedawną jeszcze pamiątką, trzeba iść... ale dokąd?... Kto ją przyjmie pod opiekuńcze skrzydła?... Sama jedna na obszernym świecie. Ta myśl okrutna złowrogim jękiem ozwała się w

zbolełej duszy.

Zbyt wcześnie porywał ją wir nowego życia, zbyt wcześnie stanęła przed nią zimna mara rzeczywistości. Skołatana myśl dziewczęcia nie zdołała jeszcze ochłonać z pierwszego wrażenia boleści, a tu trzeba skupić wszystkie siły ducha i stanąć do walki z życiem.

Marynia nie umiała nawet zdefiniować w ten sposób położenia swego. W duszy jej było ciemno, ponuro, i owa rzeczywistość stanęła przed nią jak niezrozumiała zagadka.

Mimo tak smutnego stanu, przed duszą dziewczęcia nie ukazały się jeszcze ciemne barwy rzeczywistości. Jakaś dziecięca wiara w dobroć ludzi zakryła je różową zasłoną ułudy. Bardziej dręczyła ją myśl, że musi opuścić to zacisze, gdzie tyle chwil szczęśliwych spędziła, gdzie pozostawi przeszłość ubiegłą. Jakaś tylko wrodzona bojaźń, którą czujemy, wchodząc na nieznaną drogę, miotła piersią biednej dziewczyny.

Zebrawszy wreszcie skołatane myśli, postanowiła udać się na miasto, aby poszukać sobie innej, tańszej siedziby. Znalazłszy się w wirze życia ulicznego, szła jakby oszołomiona. Wszędzie obce



twarze, a ona sama jedna... żadne przyjazne oblicze nie uśmiechnęło się do niej.

Na jednej z bram ujrzała kartę z napisem: "pokój do wynajęcia przy rodzinie."

Udała się do odnajmującej, którą była niemłoda już kobieta.

Ta, ujrawszy przed

sobą młodzieńca, panią, zapytała ze zdziwieniem:

— Czy pani sama będzie mieszkała?

— Sama!

— A czy można spytać, czym się pani zajmuje? Marynia spojrzała zdziwionymi

oczyma na mówiącą.

— Ja... pani... nie mam dotąd żadnego zajęcia...

— Daruje pani... ale tego rodzaju osób nie mogę przyjmować na mieszkanie —

odrzekła pogardliwie stara dama.

Dziewczę podniosło na mówiącą błagalne spojrzenie; rzęsiste łzy pociekły po

wybladłej twarzyczce, i łkanie tamowało mowę.

— Ja... proszę pani... jestem sierotą.... Wczoraj pochowałam matkę... niczem się dotąd nie zajmowałam....

— A czy posiada pani fundusz na dalsze utrzymanie?

Pytanie to zastało Marynię zupełnie nieprzygotowaną na odpowiedź. Nie знаła

dotąd, co to troska o byt materialny, co to praca dla chleba.

W jednej chwili

stała przed nią groźna postać przyszłości.

— Nie wiem — odrzekła zmieszana — zostało, zdaje się, coś pieniędzy, ale nie

wiele. Jest też trochę rzeczy do sprzedania.

— Ale czy to na długo wystarczy?

— Nie wiem... nie mogę porachować... nie miałam dotąd nigdy w rękach pieniędzy, i nie wiem, ile potrzeba na utrzymanie. Ale zdaje mi się, że nie na długo....

— A czy panienka umie zapracować na kawałek chleba?... I znów pytanie, na które dziewczę nie mogło znaleźć odpowiedzi. Praca na kawałek chleba była dla niej jakąś nieznaną krainą, o której żadnego nie miała pojęcia.

Mówiono jej czasami o nędzarzach, którzy w ciągłym trudzie wloką dni swoje, ale słuchała tego jak smutnej bajki, do której nie wiele przypisywała wiary.

— A cóż potrzeba robić, aby zapracować na kawałek chleba?... O! wiele prac jest do wyboru. Może panienka umie szyć?...

— Trochę, bardzo mało!

To źle! Może jesteś pani uzdolnioną do udzielania lekcji? Nie wiem, czy podołałabym temu... nie wiele mnie uczono.

— Cóż więc panienka umiesz?

— Umiem... grać na fortepianie...

— To nie wiele... ale probuj pani... możesz udzielać lekcje. Za to nieźle płacą. Tymczasem możesz zająć ten pokoik. Tylko proszę regularnie płacić komorne!

W dziwnie chaotycznym nastroju duszy wybiegło na ulicę biedne dziewczę. Przykra

ta indagacja odsłoniła jej nieco przyszłość niepewną,  
postawiła przed dziecięcą  
duszą nieznaną dotąd zagadkę życia.  
Znalazłszy się znowu w swoim cichym schronieniu, Marynia  
wpadła w jakiś stan  
dziwnej apaty. Chodziła ze spuszczoną główką po tych  
pokojach, gdzie niedawno  
dźwięczała wesoła piosenka dziewczęcia, piosenka bez troski  
o jutrze. Teraz  
dziwnie duszno jej było w tem schronieniu. Otworzyła okno,  
pragnąc odetchnąć  
świeżem powietrzem. Ciepły wietrzyk wiosenny chłodził  
palące skronie; wesoło  
uśmiechnięta natura uspokoiła nieco zbolące serce.  
Był to dzień świąteczny. Na dworze bawiło się kilku  
chłopczyków. Wesołość  
malowała się na ich obliczach. Dla zbolącej duszy dziwnym  
się wydaje każdy obraz  
spokojnej radości. Marynia z zajęciem spoglądała na  
uśmiechnięte twarze malców.  
Wreszcie, zwróciwszy się do jednego z nich, zapytała:  
— Czyjżeś ty, moje dziecko?  
— A ojca i matki — odrzekł rezolutnie chłopczyzna.  
— A kto twój ojciec?  
— Ojciec służy na wsi przy dworze, a i matka także.  
— A co ty tu robisz w mieście?...  
— Terminuję u majstra.  
— A później powrócisz do rodziców?  
— E! nie! wyzwolę się na czeladnika, zarobię trochę grosza,  
założę warsztat i  
wezmę starych do siebie.  
Szczęśliwy! — pomyślała Marynia. Dziecię to z wiarą patrzy  
w przyszłość. Będzie

umiało zapracować na kawałek chleba nie tylko dla siebie, ale i dla rodziców. A ja... ja jestem wyrzutkiem społeczeństwa!... nic nie umiem! Wobec najlichszego wyrobnika musiałabym się rumienić za nieudolność swoją. Jestem niczem!... Tak smutne myśli trapiły duszę dziewczęcia, a jednocześnie wieża rana żalu po bolesnej stracie gangrenowała to młodziutkie, a pierwszy raz silnie cierpiące serduszko.

\* \* \*

Smutno wlekły się pierwsze chwile samotności, która miała trwać długo... lata całe. Marynia nie miała ani krewnych, ani bliż-

szych znajomych. Nie było nikogo, ktoby ją wsparł radą, życzliwą. Dla tej biednej zboląej duszy potrzeba było balsamu pociechy, i przewodniej dłoni, któraby jej drogę życia wskazywała. W chwilach chłodniejszej rozwagi stawała przed nią wiecznie myśl trapiąca: trzeba szukać pracy! — ale gdzie, w jaki sposób? Dziecię to nie znało świata i nie wiedziało, w którą zwrócić się stronę. Ze szczupłego grona znajomych, którym nawet na myśl nie przyszło opuszczone

dziewczę, jedna tylko przyjaciółka lat dziecinnych nie  
zapomniała o sierocie.

Ona jedna osładzała jej chwile samotności, pocieszała w  
łzawej tęsknocie.

Jako starsza wiekiem i doświadczeniem, była dla Maryni  
niejako matką i  
opiekunką. Przed nią biedne dziewczę wylewało głęboką  
boleść swoją, smutne obawy  
i niepokoje.

— Maryniu! — rzekła do niej pewnego razu młoda opiekunka  
— trzeba seryjo

pomyśleć o przyszłości!... My tu siedzimy z założonemi  
rękoma, a każda chwila  
stracona nie łatwo da się powetować.

— Pomyśleć o przyszłości?!... odrzekło smutnie dziewczę —  
o! myślę ja o niej

często, ale wiecznie staje ona przedemną, jak jakaś ciemna  
zagadka. Mam wiarę w

ludzi; nie wątpię, że na szerokim świecie znajdzie się  
schronienie i kawałek

chleba dla sieroty, a minio to, gdy pomyślę, że muszę wstąpić  
w ten tłum mi

nieznany i wyciągnąć dłoń zebraczą, wołając: "pracy i  
chleba!" — jakaś dziwna

dręczy mnie trwoga.

— Piękna to rzecz wiara w ludzi, dowodzi bowiem  
szlachetnego i nieskażonego

serca; ale, przechodząc granice prawdy, wchodząc w sferę  
złudzeń, jakżeż smutną

bywa często w skutkach swoich. Biedny zaślepiony marzyciel  
wchodzi na arenę

życia, sądząc, że same kwiaty i owoce napotka na drodze  
swojej, a tu nagle cierń

go skaleczy, albo wąż zniecka ukąsi. Pierwszy mógłby  
łatwo usunąć, a drugiego  
ominać, ale bezwzględna ufność zaślepiła mu oczy. Idzie  
dalej... tysiąc wrogich  
sił występuje przeciwko niemu, a on słabą dłonią zwalczyć ich  
nie potrafi; nie  
znając niebezpieczeństw, jakie napotkać miał na drodze życia,  
nie wzmocnił się  
wprzód chryzmatem potęgi, nie zaopatrzył w narzędzia walki,  
nie nauczył się być  
ostróżnym i baczny na wszystko. Maryniu! niech cię Bóg  
strzeże, abyś miała być  
tym marzycielem!  
— Ja wiem, że droga życia, jest ciernistą — odrzekło  
dziewczę — ale wierzę też  
głęboko, że są szlachetne dłonie, które nie jeden cień z pod  
nogi bratniej  
usuną.  
— Tak! ale są też i nieczne dłonie, które, korzystając z twej  
ufności, wprowadzą  
cię na najbardziej ciernistą drogę. Trzeba patrzeć bacznie, aby  
ustrzedz się  
takich ludzi.  
— Smutna zagadka życia!

— Tak! ale jest jeszcze inna. niemniej ważna, a kto wie, czy  
nie ważniejsza  
jeszcze. Życie nie jest rajskim ogrodem, gdzieby każdy mógł  
spożywać ożywcze  
owoce; jest to raczej, że się tak wyrażę, warsztat roboczy,  
gdzie każdy musi

przyjść z silną i umiejętną dłonią. Ażeby mieć prawo bytu,  
potrzeba umieć i  
chcieć pracować. Prawda, jest wielu szczęśliwców, którzy  
stoją na uboczu z  
założonemi rękoma. Ale ci... płacą robotników; mają w swych  
dłoniach potęgę  
kapitału — spuściznę pracy i zasługi przodków.  
Długo gawędziły tak dwie przyjaciółki. Zwolna rozmowa  
weszła na weselsze tory —  
młode serca spowiadały się z ukrytych pragnień i uczuć  
serdecznych.

— Wiesz, Maryniu! — rzekła starsza panienka — jak widzę,  
ty kwalifikujesz się  
tylko na jedną posadę.

— Jaką?

— Na posadę żony zamożnego człowieka. Marynia  
roześmiała się serdecznie.

— A wiesz, że to trudna do osiągnięcia posada — mówiła  
dalej młoda mentorka —  
ale też wymaga najmniej kwalifikacji. Gładka twarzyczka,  
sztuka przypodobania  
się i trochę powierzchownej oglądy, gruntowna wiedza,  
polegająca na znajomości  
francuzkiego języka i wreszcie estetyczne wykształcenie, czyli  
znajomość kilku  
sztuk pięknych, jako to: tańca, gry na fortepianie i t. p. — oto  
i wszystko,  
czego potrzeba.

— To nie wiele!

— Ale... ale... zapomniałam o jednej jeszcze kwalifikacji...

— O jakiej ?

— O posagu!

— Czyż nie może go zastąpić miłość prawdziwa?

— O rzadkie to dzieje! Uroczy amorek częściej ulata w tych sferach, gdzie chłodno i głodno, aniżeli w złoconych komnatach bogaczy. Pofilozofowawszy tak dość długo, przeszły wreszcie dziewczeczki nasze do realniejszych rzeczy.

— Wiesz, co mi przychodzi do głowy, Maryniu? — rzekła młoda opiekunka sieroty.

— A co?...

— Znasz muzykę?...

— Trochę!

— No to dobrze! Postaram się dla ciebie o kilka lekcji. Mam wiele stosunków.

— Nie wiem, czy podołam.

— No to popróbujesz. Jak będzie źle szło, pomyślimy o czym innym.

Marynia skinęła główką na zgodę, i znowu wesoła rozpoczęła się gawędka.

\* \* \*

W kilka dni po tej rozmowie widzimy bohaterkę naszą, wchodzącą po szerokich frontowych schodach do pierwszopiętrowego apartamentu. Nieśmiało zadzwoniła do drzwi, które po chwili oczekiwania rozwarły się, i Marynia ujrzała aroganckie oblicze lokaja. Ten, spostrzegłszy przed sobą, skromnie ubraną panienkę, obejrzał ją z dołu do góry i surowym ozwał się głosem:



- A czego to?...
- Czy jest pani hrabina w domu?
- Jest, ale w tej chwili nie przyjmuje!
- To ja zaczekam.

Famulus z niechęcią ustąpił na bok i wpuścił do pierwszego pokoju zmieszana dziewczynę, a sam udał się do dalszych komnat.

Chwile oczekiwania strasznie długimi wydawały się Maryni.

Z ciekawością jednakże przyglądała się gustownym i bogatym ozdobom. Po chwili jakaś tęskna

zaduma spoczęła na czole dziewczęcia. Może wspomniała sobie szczęśliwe lata

dzieciństwa, nie otoczone wprawdzie takim przepychem, ale w dostatkach i bez troski o jutrze.

Z zadumy tej zbudził ją ostry głos lokaja.

— Pani hrabina się pyta, co za interes!...

— Proszę powiedzieć, że przychodzę z rekomendacji panny Janickiej, mam udzielać lekcje muzyki.

Lokaj wyszedł; po chwili powrócił znowu:

— Pani hrabina prosi! — zawołał.

Marynia, drżąc cała z nieśmiałości i obawy, weszła do drugiej komnaty, gdzie na

aksamitnej kozetce spoczywała niemłoda już kobieta. Rysy jej, widocznie piękne

kiedyś, miały w sobie ów wyraz dumy arystokratycznej, w części odziedziczony po

przodkach, a w części sztucznie lub z przyzwyczajenia malujący się na twarzy.

Ciemne, zamglone już oczy, spoglądały pogodnym, zimnym wzrokiem, a dumnie

zaciśnięte usta świadczyły, że przywykły bardziej do pogardliwego wyrazu, niż do słodkiego uśmiechu.

Lekkim skinieniem ręki poprosiła siedzieć przelękłą dziewczynę.

— Panna Janicka rekomendowała mi panią. Ufam jej w tym względzie, i nie wątpię, że nie zawiodę się w oczekiwaniach swoich.

— Przyjęty na siebie obowiązek będę spełniała sumiennie! — rzekła drżącym głosem Marynia.

— Będiesz więc panna udzielała początków muzyki dziesię-

cioletniej mojej córeczce. Nie chcę brać do niej metra, gdyżby to było zawczasie.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Panna Janicka — ozwała się znowu hrabina — zapewniła mnie również, że i z moralnych względów będę mogła śmiało powierzyć panience swoją córkę. Zresztą przyszłość sama to okaże. Muszę uprzedzić panią, że zwykłam osobiście czuwać nad wychowaniem mego dziecka, i dla tego bywam obecną na każdej lekcji.

Dziewczę ze zdziwieniem spojrzało na mówiącą. Więc miała zdawać egzamin z moralności; więc na samym wstępie do życia spotykała się z nieufnością!...

Musiała dowieść swej cnoty!... Młodziutkiej, niedoświadczonej dziewczynie wydało

się to sroga, krzywdą i obelgą. I nic dziwnego! sama  
spoglądała na świat z  
nieograniczoną wiarą i przez szkło dziecięcych marzeń  
widziała wszystko w blasku  
cnoty i szlachetności.  
Spuściła smutnie i jakby ze wstydem oczęta, gdy tymczasem  
hrabina baczny okiem  
wpatrywała się w wybladłą twarz dziewczęcia.  
Wtem rozwarły się drzwi, i do pokoju wszedł młody człowiek.  
Ciekawe czytelniczki  
nasze zażądają zapewne, abyśmy skreślili szczegółowy  
wizerunek młodzieńca.  
Przyglądając się jednakże bliżej tej postaci, jak ona się w  
twórczej wyobraźni  
naszej przedstawia, nie upatrujemy żadnych cech, któreby  
wyróżniały ją od reszty  
śmiertelników. Tyle tylko można powiedzieć, że matka natura  
nie była dlań  
macochą. Był to jednym słowem przystojny i miły bardzo  
młody człowiek. Nie mógł  
mieć więcej nad lat dwadzieścia dwa, lub trzy. Jednakże  
śmiałość wejrzenia i  
pewność siebie cechowały nie tylko szczęśliwego ulubieńca  
losu, lecz zarazem  
człowieka, który już oddawna stąpa po otwartej drodze życia i  
zna wszystkie jej  
tajemnice.  
Skłoniwszy się zlekka młodej dziewczynie, zwrócił się do  
hrabiny i rzekł wesoło:  
— Moja uczennica coś nie chce mnie słuchać, kochana mamo!  
— No to użyj powagi nauczyciela! — rzekła z uśmiechem  
matka, a na zimnem jej

obliczu pojawił się serdeczniejszy jakiś wyraz. Z miłością i dumą rodzicielską spoglądała na urodziwą postać syna.

— Anielcia powiada, mameczko, że jej nauka wcale niepotrzebna.

— A skądżeż jej to przyszło do głowy?

— Mówi, że słyszała kiedyś rozmowę starszych, iż kobieta może się obejść bez nauki, a powinna znać tylko dobrze języki i muzykę.

— Oto właśnie — rzekła hrabina, wskazując ręką Marynię — panna... przepraszam, jak się nazywa?

— Maryja C. — odpowiedziało zmieszane i obrażone niegrzecznym tonem mowy dziewczę.

— Oto panna Maryja C. — mówiła dalej hrabina — podejmuje się udzielać Anielce początków muzyki. Rekomenduje ją panna Janicka, i sędzę, że się nic zawiodę...

Młodzieniec zwrócił śmiałe spojrzenie na zarumienioną dziewczynę i zlekka

skłonił głowę. Wzrok jego dość długo spoczywał na pięknym jej obliczu. Ale

Marynia nie widziała tego, siedziała bowiem wzruszona ze spuszczonej oczyma.

Piękną była w tej chwili. Na bladym licu wykwitał rumieniec, tworząc cudną

różową barwę, na śnieżnym tle rozlaną.

Po chwili młody hrabia opuścił pokój, i rozpoczęła się znowu rozmowa co do

proponowanej lekcji. Po krótkiej naradzie, Marynia przystała na szczupłe dosyć wynagrodzenie. Snać wielka pani nie bardzo cenila pracę biednej dziewczyny, a ta znowu nie miała śmiałości targować się. Z dziwnym jakimś smutkiem i niepokojem powróciła Marynia do skromnej izdebki swojej. Widziała jednakże przed sobą przyszłość trochę pewniejszą; niezmiernie też podobała jej się ta myśl, że sama na siebie pracować będzie.

\* \* \*

Z pewnem uczuciem strachu przystępowała Marynia do pierwszej lekcji. Nauczycielka bardziej bała się od uczennicy. Musimy powiedzieć otwarcie, że bohaterka nasza, przyjmując na siebie ten obowiązek, postąpiła trochę niesumiennie. Przy starannem powierzchownem wykształceniu dziewczęcia, muzyka była na pierwszym planie, ale Marynia zapoznała się z nią tylko tyle, ile wymagają ogólnie przyjęte przepisy wychowania kobiecego. Kochającej, ale nieogłędnej matce nie przyszło nigdy do głowy, aby córka jej miała zostać kiedykolwiek nauczycielką muzyki. Gdyby nie wskazówki, jakie udzieliła jej naprędce życzliwa przyjaciółka, biedne dziewczę nie wiedziałoby, od czego zacząć pierwszą lekcją.

W znacznej jednakże części usprawiedliwia się ta niesumienność naszej bohaterki smutnem położeniem, w jakim się znajdowała. Zresztą, nie znając niezbędnych w tym względzie warunków, uważała się za dostatecznie kompetentną. Mimo to pierwsza lekcja była okropną. Biedne zmieszane dziewczę siedziało pod czujnym okiem hrabiny, która uważała swą obecność na lekcyi za konieczną.

Później szło trochę lepiej, chociaż hrabina rzadko opuszczała pokój. Często dwie nawet osoby czuwały nad nauczycielką i uczennicą. Domyślicie się zapewne, czytelniczki, kto był tą drugą osobą. Czy młody hrabia zwracał baczną uwagę na samą lekcję, czy też na nauczycielkę, tego nie wiemy. Dostyc; że często wzrok jego spoczywał na bladym licu dziewczęcia, wywołując na niem rumieniec zmieszania.

Pewnego razu hrabina zasłabła trochę i nie mogła być obecną na lekcyi. Syn więc musiał czuwać i za nią i za siebie. Spełniał tę funkcję z największą starannością, i nie zadawalnając się niemą obserwacją, rozpoczął grzeczną rozmowę:

— Jakżeż tam uczennica, czy robi postępy?...

Nagle to zapytanie zmieszało trochę Marynię. Dotychczas, prócz zwykłego przywitania i pożegnania, młody hrabia nie przemówił do niej ani jednego słowa.

— Owszem... Anielka jest pilną bardzo uczennicą — odrzekła drżącym głosem.

Rozmowa urwała się na chwilę. Ale wnet młody hrabia rozpoczął ją na nowo.

— Czy pani dużo godzin dziennie poświęca na tak nudne zajęcia?

— Nie panie, mam tylko jedną lekcję.

— A cóż pani robi z resztą czasu, jeżeli wolno zapytać?

— Różnie... nie mam żadnego stałego zajęcia... szyję, czytam książki...

— I marzę... dodał wesoło młody człowiek — sądzą, że to ostatnie zajęcie jest najprzyjemniejszym.

Ten śmiały zwrot mowy bardziej jeszcze zmieszał Marynię.

Twarzyczka dziewczęcia

silniej się zarumieniła, a wyraz odpowiedzi skonał na ustach.

— Sfera marzeń — mówił dalej młodzieniec — jest dla młodych kobiet

najprzyjemniejszą krainą, gdzie myśl ich a raczej wyobraźnia najczęściej gości.

My bo żyjemy w bardziej realnym świecie.

— Czy pan to za złe uważa kobietom?

— Broń Boże! Czyż my, śmiertelnicy, mielibyśmy się gniewać na niebianki, które w

tych nieznanym nam sferach zbierają nadobne kwiecie uczuć i marzenia, aby

złożyć nam je później w dani.

— Zbyt zarozumiali panowie jesteście! — rzekło ośmielone już nieco dziewczę —

sądzicie, że niebianki owe, jak je pan nazywasz, dla was  
jedynie zbierają urocze  
kwiecie marzenia.

— Czyżby miało ono wędnać w ich sercach?

— Wędnać?! Zimna to musi być pierś, w której zwiędnać  
potrafią!....

— Być może!... Lecz, aby nie zwiędły, potrzeba dla nich  
atmosfery pewnych uczuć  
młodości, które wylewają się z dwóch bratnich piersi...  
Twarz Maryni pokryła się znowu silniejszym rumieńcem.  
Zmieszanie nie dozwoliło  
jej odpowiedzieć. Dotąd jednej tylko przyjaciółce spowiadać  
się zwykła z marzeń  
i pragnień dziewiczego serduszka. Rozmowa stawała się dla  
niej nazbyt drażliwą.  
Nie знаła jeszcze tego blichtru rozmowy towarzyskiej, co to  
wewnętrzna, pustkę  
duchową pokrywa szumnymi frazesami; nie przywykła zresztą  
do śmiałego  
wypowiadania przekonań w podobnych kwestyjach.  
Spostrzegł to zakłopotanie uprzejmy interlokutor i zręcznym  
manewrem wprowadził  
rozmowę na mniej drażliwe tory.  
Słabość hrabiny trwała dość długo; syn zawsze ją zastępował,  
starając się jak  
najbardziej uprzyjemnić Maryni nudną lekcją muzyki.  
Rozmowa często stawała się  
tak ożywioną, że nawet fałszywa gra uczennicy nie zwracała  
uwagi nauczycielki.



Lekcja trwała zwykle długo... bardzo długo, a mimo to wydawała się nader krótką. Dziewczę powracało do swej skromnej izdebki w jakimś dziwnie słodkim upojeniu, z którego jednakże nie zdawało sobie należycie sprawy. Młody hrabia tyle okazywał jej grzeczności i przychylności, w rozmowie był tak miłym, rozsądnym i szlachetnie myślącym, że biedna opuszczona dziewczyna, przywykła do długich chwil smutnej samotności, niecierpliwie oczekiwała wesołej i serdecznej gawędki. Znając dobrze świat i życie, młody hrabia wprowadzał myśl dziewczęcia w nieznane jej dotąd sfery, odkrywał wiele obcych zupełnie rzeczy. To też, wchodząc do nowej krainy uczuć i myśli, zapominała często o obecnej rzeczywistości, sieroctwie i smutnej doli swojej... Tymczasem lekcje szły coraz gorzej. Marynia przekonywała się z wolna o nieumiejętności swojej. Martwiło ją to bardzo. Hrabina, która po powrocie do zdrowia, zaczęła znowu śledzić postępy córki, zauważyła wnet nieumiejętne kierownictwo nauczycielki.

— Panno Maryjo! — rzekła pewnego razu po ukończeniu lekcji, będę prosiła o zwrócenie baczniejszej uwagi na Anielcię... Zbyt małe widzę postępy!

Rumieniec wstydu wystąpił na twarzy dziewczęcia.

— Pani! — rzekła drżącym głosem — ja sama widzę, że córka jej nie wiele

korzysta... dla tego też oddawna już miałam zamiar prosie o zwolnienie...

— Ha!... jeżeli pani sama sobie tego życzysz, to ja nie mam nic przeciwko temu.

Opuściwszy ten jedyny przybytek pracy, Marynia nie zdołała jeszcze pomyśleć o

tem, że staje nad przepaścią nędzy... że traci ostatni kawałek chleba. Inna myśl

ją trapiła:

— O jakżeż niesumiennie postąpiłam! — pomyślała sobie — podjęłam się obowiązku,

którego spełnić nie umiałam.... Te pieniądze, którymi mnie wynagrodzono, byty

raczej nieprawnie wydartą jałmużną, aniżeli zapracowanym groszem... Dopuściłam

się niecnego oszukaństwa!...

Z tej, smutnej zadumy wyrwał ją dobrze znajomy głos.

Marynia ujrzała przed sobą

hrabiego. Biegł szybko i dogonił ją na skřęcie pierwszej ulicy.

Dziewczę zatrzymało się ze zdziwieniem.

— Panno Maryjo! — coś pani zrobiła! — zawołał młodzieniec.

— Zrobiłam to, co mi sumienie nakazywało — odrzekła smutnie — czując, że nie

zdołam spełnić należycie przyjętego obowiązku, wyrzekłam się go.

— I cóż pani teraz poczniesz? w jaką zwrócisz się stronę?

— Nie wiem! nie pytaj mi się pan! nie pomyślałam jeszcze o tem!...

Rzekłszy to, smutno spuściła główkę. Snać nappełnił ją nowy rój przykrych myśli.

W milczeniu doszli do bramy Saskiego Ogrodu, którą dziewczę wracało do domu" i

zwrócili się w jedną z bocznych alej.

— Może spoczniemy na chwilę? — zaproponował hrabia.

Znekane dziewczę biernie

przystało na propozycję. Siedzieli przez jakiś czas w

milczeniu. Dziewczę

smutnym, zamglonym wzrokiem spoglądało przed siebie, na bladej twarzyczce

bolesne malowało się uczucie. Wreszcie pod ciężarem

przykrych myśli zwiśla jej

główka na piersi, i dwie łzy kryształowe potoczyły się po

twarzy. Młodzieniec

żywo zwrócił się do płaczącej, i mimo oporu ująwszy jej rękę,

rzekł wzruszonym

głosem:

— Pani płaczesz, panno Maryjo! O przestań! błagam cię!

każda łza twoja rani mi

serce!

Po twarzy dziewczęcia przeszła jakaś burza uczuć; słowa

zamarły na ustach; serce

ozwało się gwałtownym biciem. Był to jeden z tych szalonych

wichrów, co porusza

duszą całą i odkrywa najskrytsze jej tajniki. Marynia poczuła,

że w głębi jej

duszy spoczywa ogień silnego uczucia, z którego dotąd nie

zdawała sobie sprawy.

Oszołomiona potężną iskrą, jaka nagle wybuchła z głębi tego

ognia, już... już

miała wyrzec wrzące słowa miłości, kiedy wtem jakaś nowa

myśl spoczęła na białem

czołku dziewczęcia, i odmienne uczucie wyryło się na twarzy. Spojrzała pałającym wzrokiem w twarz młodego człowieka i dziwnie zmienionym wyrzekła głosem:

— Cóż pana hrabiego może obchodzić los biednej sieroty?!

— Co mnie twój los może obchodzić, panno Maryjo! Jakto, więc nie odgadłaś dotąd

uczucia, które wre w mojem łonie?!

Nowa burza zawrzała na licu dziewczęcia.

— Panie hrabio! — rzekła — jesteś szlachetnym, jestem o tem aż nadto przekonana.

Sądzę więc, że spełnisz prośbę moją. Jeżeli rzeczywiście jesteś mi życzliwym,

błagam cię, pozostaw mnie samą swojemu losowi! Nasze drogi w tak różne idą

strony, że nigdy spotkać się nie mogą.

— O nie, pani, tego nie uczynię! Ja będę twoim aniołem opiekuńczym. Nie pozwolę,

abyś sama szła dalej po ciernistej drodze życia!

— Nie! nigdy! wszystko, cokolwiek mi ofiarujesz, byłoby jałmużną, a tej nigdy

nie przyjmę!

— O nie! to raczej ja wezmę od ciebie jałmużnę niebiańskich uczuć i roskoszy!...

Dziewczę spojrzało na młodego człowieka wzrokiem, który tajemne głębie duszy

odkrywał. Chciało wyczytać na jego twarzy to, z czego się usta spowiadały.

Oblicze młodziana wrzało gorączkowym wzruszeniem. Oczy ich spotkały się z sobą,

i cicha spowiedź tajemnych uczuć spłynęła po promieniach  
wzroku.

— Panno Maryjo! — rzekł po chwili hrabia — czy mam  
odejść bez słowa pociechy.

Czyż z ust twoich nie usłyszę wyroku szczęścia mego?

— O błagam cię, panie hrabio! — odpowiedziało zbudzone ze  
słodkiego marzenia

dziewczę — nie żądaj tego odemnie! Idź w swoją drogę i  
zapomnij o mnie ! Powróć

do swojej matki, ja do niej nigdy wrócić nie mogę! Niema tam  
dla mnie miejsca!

Spuszczamy zasłonę na dalszy ciąg rozmowy dwojga ludzi.

Łaskawe czytelniczki

same łatwo się domyśla jej rezultatu.

\* \* \*

Czy znacie, łaskawe panie, tę wybladłą mare, co ujawszy w  
swe objęcia

nieszczęśliwą istotę, wysysa wszystkie ożywcze soki z jej łona  
i na bladym licu

kreśli złowrogie znamię zaguby; czy znacie tę postać, co przed  
starganą duszą

odkrywa ciemne, nieznane dotąd krainy zbrodni i występku,  
co złamawszy całą

potęgę woli, pcha biedną ofiarę w przepaść niezgłębioną!... Na  
imię jej nędza!

Wszystko prawie, co niecnego ta ziemia wydała, wylęgło się z  
jej łona. Pełzając

najczęściej w kretowiskach ciemnoty, wdziera się ona  
niekiedy i tam, gdzie

jaśniej słońce ducha przyświeca, porywa nieszczęśliwą ofiarę i  
wraca z nią do

kretowisk swoich. Smutne to dzieje, najsmutniejsze może ze  
wszystkich spraw tego  
świata!...

Gdzie nędza, tam musi być i poddasze. Darujcie więc, łaskawe  
czytelniczki, że aż  
tak wysoko was pofatygujemy. Czy mamy

opisać wam to schronienie ubóstwa?!... Znacie je chyba  
dobrze, jeżeli nie z  
widzenia, to z opowieści przynajmniej.  
Przystąpimy wprost do rzeczy. Domyślicie się zapewne, że  
podążamy tu za  
bohaterką naszą, która, nie mogąc uiścić się z ostatniej raty  
komornego,  
zmuszoną była aż tu szukać sobie tańszej siedziby.  
Widzimy tu Marynię samą jedną... bez żadnej opieki.  
Przyjaciółka jej opuściła  
Warszawę i nic nie wiedziała o zmianie losu biednej  
dziewczyny. Tymczasem, jak  
mówi poeta: "słabe siły targała nędza i tęsknota." Marynia  
czuła się niezdrową i  
nie opuszczała swej izdebki. Było tu zimno, ale na dworze  
zimniej jeszcze.  
Zresztą, po co miała wychodzić?... do kogo?... Położenie  
biednej istoty bez  
jutra stawało się coraz krytyczniejszym. Ostatnie zapasy  
zupełnie się już prawie  
wyczerpały. Lada dzień przyjść miała okrutna mara głodu i  
położyć swe zimne  
dłonie na bladej twarzączce dziewczęcia. A słabą i bezsilną  
napotykała ofiarę.

Marynia wpadła w smutny stan apatii; jak istota, której nieodwołalny ogłoszono wyrok, nie spodziewając się już z nikąd pomocy, w biernej bezczynności oczekiwała srogiego losu.

Inne prócz tego uczucia targały zbolełą duszą bohaterki naszej. Wrzała tam w głębi potężna walka. Słuszne prawa młodzieńczego serca odzywały się niekiedy buntowniczym głosem, ale wnet duma szlachetna milczyć im nakazywała....

Pewnego razu, kiedy na ubogim poddaszu na dobre zaczynało być chłodno i głodno, zawitał tu gość niezwykły. Roznosiciel przyniósł list niespodziewany. Marynia żywo oderwała pieczętkę, i spojrzawszy na podpis, wyczytała imię przyjaciółki.

Jednocześnie coś spadło jej na kolana. Było to kilka papierów bankowych.

Rumieniec wstydu i upokorzenia wystąpił na wybladłej twarzyczce. Chociaż nikt nie widział tej jałmużny, jaka ofiarowano kobiecie bez jutra, wstydziła się

jednakże sama przed sobą. List był następującej treści:

"Daruj, droga Maryniu, że przez tak długi czas nie dawałam żadnej o sobie

wiadomości, ale, muszę ci otwarcie powiedzieć, że było to tylko wet za wet.

Niedobra ty dziewczyno! jak mogłaś mi nie donieść o swoim losie... dopiero od

obcych musiałam się dowiedzieć. Nigdy ci tego nie przebaczę!

Bez żadnego

pytania, pożyczam ci rs. , oddasz mi, jak się dorobisz.  
Tymczasem do  
widzenia!... Niezadługo będę w Warszawie i pomyślimy o  
przyszłości..."  
Pismo panny Janickiej dziwnie jakoś było zmieniono, jakies  
niepewne, jakby  
drżącą kreślone ręką....  
Marynia długo stała w osłupieniu, nie mogąc zebrać  
skołatanych myśli. Spoglądała  
to na list przyjaciółki, to na grosz jałmużny, którego się  
dotknąć nie śmiała.  
Długo... długo nie wiedziała, co

począć czy przyjąć upokarzającą pożyczkę, czy też odesłać  
napowrót. Wreszcie  
zdecydowała się na pierwsze. Może nie chciała obrazić  
przyjaciółki, a może...  
może... głód jest straszną potęgą!....  
Miała więc bohaterka nasza na jakiś czas byt zapewniony. Ale  
teraz bardziej  
jeszcze trapiła ją ta myśl, że trzeba szukać pracy. Jałmużna  
paliła jej dłonie;  
ten chleb, kupiony za cudze pieniądze, nie smakował biednej  
dziewczynie.  
Pragnęła czempredzej spłacić dług zaciągnięty. Dniem i nocą  
myślała tylko o tem,  
w jakiby sposób poszukać sobie pracy, ale, biedaczka, nic  
wymyśleć nie mogła.  
Niczego ja nie nauczono, do niczego nie była zdolną!...  
Smutne chwile rozmyślenia i samotności przerwał nowy list  
od przyjaciółki.



Czytając go, Marynia za ledwie oczom swym wierzyć mogła.  
Okropna myśl jakby  
gromem uderzyła w to biedne, cierpiące serce. W liście panna  
Janicka zapytywała  
się, jak tam idą lekcje u hrabiny, czy nie znalazła innego  
jeszcze zajęcia i t.  
p. — Dziwny jakiś chaos powstał w myśli dziewczęcia; nie  
mogła z początku  
zrozumieć, co to znaczy. Więc ów list pierwszy nie był chyba  
od przyjaciółki.  
Odgadła wreszcie okrutną prawdę. Więc przyjęła jałmużnę od  
kogo innego! Ale  
któżby to mógł być?! Tak!... nie kto inny, tylko on!... On  
jeden wiedział o jej  
smutnym losie.... Więc przyjęła jałmużnę, którą hrabia  
podstępem jej  
ofiarował!...  
W jednej chwili powzięła stanowcze postanowienie. Wzięła  
arkusz papieru, i  
skreśliwszy na nim słów kilka, zapieczętowała wraz z  
pieniędzmi, które w  
znacznej części były jeszcze nienaruszone. Ubrawszy się  
czempredzej, wybiegła na  
ulicę, aby przesłać list hrabiemu. Ale wtem przyszła jej na  
myśl okoliczność, o  
której w chwili pierwszego szału zapomniała zupełnie. List z  
pieniędzmi mógł  
wpaść w ręce hrabiny, a tego bynajmniej sobie nie życzyła.  
Można było wysłać  
pieniądze z bezimiennem zawiadomieniem, którego  
pochodzenia młody człowiek  
łatwoby się domyślił. Ale myśl ta nie przyszła do głowy  
biednemu dziewczęciu.

Przez kilka chwil Marynia stała w zadumie, nie wiedząc, co począć. Wreszcie zdecydowała się na krok bardzo śmiały. Zawoławszy posłańca, poprosiła o kartkę papieru, i skreśliwszy na niej słów kilka, kazała zanieść podług adresu. Sama zaś udała się do Ogrodu Saskiego, i skręciwszy w prawą aleję, usiadła przypadkiem na tej samej ławce, gdzie niedawno usłyszała z ust hrabiego wrzące słowa miłości. Długimi wydawały się jej chwile trwożnego oczekiwania. Wreszcie ukazała się w dali postać hrabiego. Biednej dziewczynie serce silniej zabiło w łonie, w oczach się zaćmiło, i dopiero głos zbliżającego się młodzieńca zdołał przywrócić jej przytomność. Z jakimś dziwnie bolesnym wyrazem spojrzała w oczy hrabiemu, który, domyślając się zapewne odkrycia zdrady, zawsty-

dzony spuścił wzrok ku ziemi. Marynia długo nie mogła przemówić słowa.

Wzruszenie tamowało jej mowę. Wreszcie, wsuwając w rękę młodzieńca

zapięczętowaną paczkę, dziwnie złamanym ozwała się głosem:

— Panie hrabio!... oto są twoje pieniądze!... Niewiedząc od kogo pochodzą, wydałam z nich część. Zwrócę ją wkrótce! O! powiedz pan, czem zasłużyłam sobie

na podobną zniewagę?!....

— Pani!... pani!... jękał się zmieszany młodzieniec,  
zatrzymując rękę

dziewczyny — nie miałem wcale zamiaru obrazić jej.

— O! bierz pan czempredzej te pieniądze!... Czyż nie  
wiedziałeś, jak srodze

zranisz tem serce moje?!... Czyż godziło się traktować mnie  
jak żebraczkę?!...

— Więc miałem pozwolić pani umrzeć z głodu?.

— Błagałam pana, abys zapomniął o mnie! Pieniądze!... weź  
pan swoje  
pieniądze!...

Nie zdołała mówić dalej. Gwałtowne wzruszenie zanadto  
silnie wstrząsało całą

istotą nieszczęśliwej... W omdleniu upadła na ławkę.

Nieprzytomną Marynię odwiózł hrabia do jej mieszkania i  
poleciał opiece

miejscowej stróżki, której hojne za to obiecał wynagrodzenie.

Choroba, z którą

długo walczyła silna snać natura dziewczęcia, zawładnęła na  
dobre organizmem. W

gorączce i nieprzytomności, nieszczęśliwa spowiadała się ze  
wszystkich uczuć i

boleści swoich. Imię hrabiego i wyraz "jałmużna" wiecznie  
były w jej ustach.

Czasami też przed rozgorączkowaną wyobraźnią dziewczęcia  
inne snuły się obrazy,

jaśniejsze, atak już dawno pogrzebane. Biedna sierota  
wymawiała imię matki...

snać we śnie gorączkowym widziała jej postać, nachyloną nad  
czołem sieroty....

\* \* \*

Przyszliśmy tedy do owego kulminacyjnego punktu, po którym autor zwykł rozcinać gordyjski węzeł powieści. Rzecz to, zaiste, najtrudniejsza. Szczyściem, pokorny sługa wasz, łaskawe czytelniczki, nie myślał kreślić powieści, lecz tylko obrazek z życia kobiecego... smutny epizod z dziejów istoty bez jutra. Ma więc prawo nie zadowolnić ciekawości waszej i nie dać żadnego rozwiązania. Cóż zresztą należałoby zrobić z bohaterką naszą?... Wydać ją może za hrabiego?... Byłoby to zupełnem zaprzeczeniem samej tendencji utworu. A może zerwać nić nieszczęśliwego żywota i smutnym obrazem śmierci wycisnąć łązy z waszych pięknych ocząt?... Nie! toby było zbyt okrutne i niezbyt zgodne z prawdą. Nie wiedząc, doprawdy, co począć z bohaterką swoją, autor tego obrazku opuszcza

ia z swojej pieczy i zdaje całkowicie na łaskę losu. A niezbyt łagodny ten opiekun różnie obchodzi się z podobnego rodzaju istotami. Dla jednych jest łaskawszym, zsyłając im opiekuńczego anioła, który na samym progu upadku staje z jałmużną nauki i pracy. Ale to rzadkie bardzo dzieje. Częściej biedne te istoty

bez jutra idą, zwolna po ciernistej drodze życia, a za nimi  
wlecze się blada  
mara niedostatku. Jedne z nich upadają, wśród drogi, inne idą  
z wieczną, troską  
na czole, aż wreszcie przywykną do losu swego.  
Wyobraźmy sobie, że bohaterka nasza należy do jednej z  
dwóch ostatnich  
kategorij, że pukała do wszystkich przybytków pracy, zbierała  
jej łachmany, a za  
grosz stąd dobyte podtrzymywała jako tako nędzny swój  
żywot... wiecznie bez  
jutra!

Surowy krytyk mógłby nam zarzucić, żeśmy wybrali do  
swego obrazku istotę zbyt  
szlachetną, kreśląc tym sposobem dzieje bardziej wyjątkowe.  
Rzeczywiście, jest  
drugie grono istot bez jutra, których życie innemi idzie  
drogami... Ale  
podobnego rodzaju obrazów nie chcielibyśmy roztaczać przed  
wzrokiem młodych  
czytelniczek naszych, aczkolwiek miałyby one może szersze  
społeczne znaczenie.  
Ale oto ciekawe czytelniczki zadają nam jeszcze jedno  
pytanie. Co się stało z  
hrabią, czy zapomniał o biednej sierocie?...

Różnie o tem prawią ludzie. Niektórzy utrzymują, że był to  
szlachetny w gruncie  
człowiek, ale miał tę jedną wadę, że lubił bardzo pocieszać  
zbolełe a piękne  
istoty, że czynność tę praktykował dosyć często i że był  
bardzo szczodry w  
obietnicach.... Mówią też, że próbował jeszcze kilka razy  
zbliżyć się do Maryni,

ale widząc, że wszelkie jego starania są bezowocne, wziął się do pocieszenia samego siebie, co mu z niewielką poszło trudnością...

## II. SŁABOŚĆ I POTĘGA.

— Więc pani utrzymujesz, że uczucie miłości winno skupiać w sobie wszystkie siły ducha?

Tak, gdyż nie pojmuję uczuć połowicznych.

— A cóż pani zostawisz na inne cele życia?...

— A jakież inne cele ma przed sobą, kobieta? Kapłaństwo rodzinnego ogniska —

miłość kochanki, żony i matki — oto jedyne, zadanie nasze.

— Tak, ale gdy losy nie dadzą wam rodzinnego ogniska, zamkną przed spragnioną, duszą niebiańskie wrota uczuć najserdeczniejszych, cóż wtedy pozostanie?

Daremnie czekałem na odpowiedź od nadobnej interlokutorki.

— Niestety, łaskawa pani — mówiłem dalej — zbyt wiele w gronie waszem jest dusz kalekich, które z jednego tylko źródła zdolne są czerpać siły ducha, a skoro to

źródło wyschnie, wpadają w nieuleczone suchoty duchowe.....

Smutne to dzieje!

Czy słyszałaś pani o losie panny Anieli K.....?

— Nie słyszałam!

— No to posłuchaj pani! Znałem ją od dziecka. Była zawsze marzycielką.

Pamiętam, często w pogodną noc księżycową siadałem z małą towarzyszką swoją na progu wiejskiego dworku, i dziecięca myśl nasza snuła tak cudne obrazy, jakichby się może żaden poeta nie powstydział. W czystej duszy dziecięcia kochająca matka wypiełgnowała ciepło serdecznych uczuć, ale zapomniała wlać nieco potęgi ducha. Nie umiała też wskazać myśli dziewczęcia rzeczywistych warunków życia, jego celów, pragnień i dążeń. Zbudziła w piersi córki szlachetne instynkta i popędy, nauczyła ją kochać wszystko, co dobre i szlachetne, ale nie wskazała jej surowych obowiązków względem społeczeństwa. W wrzących latach dziewiczych marzeń, wyobraźnia dziewczęcia wzlatała w sferę ideałów, w których istnienie kazała jej wie; rzyć szeroka powieściowo-romansowa erudycja. W sercu zbudziło się jedno potężne pragnienie — pragnienie miłości. Cała duchowość jej skupiła się w tem jednym uczuciu. Po za obszarem jego widziała tylko nicość samą, próżnię i wieczną tęsknotę. Aniela nie знаła owego świata uczuć, do którego tęskniła. Wychowana wyłącznie prawie w towarzystwie kobiecem, nie znała świata męskiego. Wyobraźnia dziewczęcia napełniła go książkowemi ideałami. Gorąca lawa uczuć, tajona długo w piersi, miała się wylać na pierwszego lepszego przybysza, który okaże jaką taką ku temu kwalifikacją.

Wkrótce w życiu Anielki nastąpił dzień uroczysty. Pierwszy raz wprowadzano ją w świat. Rodzice wyprawiali bal, na który zaprosili całą młodzież okoliczną. Dzieweczka z niecierpliwością oczekiwała tej chwili, kiedy już jako dorosła panienska, ukaże się przed światem i wstąpi w wir życia. Zdawało jej się, że przejdzie wrota czarownego raję. Wyobrażała sobie całe zastępy ideałów rodu męskiego, a w ich gronie jeden specjalnie dla niej przeznaczony ideał.

I biedne dziewczę na cudnej tkance marzenia snuło złote nici. Widziała u stóp swoich postać piękną i szlachetną, obraz której już oddawna w dziewiczej piersi nosiła. Przed duszą stanął cały szereg dni szczęśliwych; przed spragnionymi ustami kielich niebiańskich słodczy i dalej... dalej... coraz jaśniejsze obrazy przyszłości.....

Nastąpiła wreszcie tak gorąco oczekiwana uroczystość. Anielcia w długiej białej sukni ukazała się oczom zachwyconej młodzieży. Była urocą z rumieńcem nieśmiałości i jakiegoś tęsknego a zarazem radosnego oczekiwania na cudnej, białej twarzyczce; z wzrokiem, zamglonym mgłą marzeń dziewczycych. To też liczne



grono młodzieży skupiło się około młodej panienki, jak rój motyli około róży, aby się napawać cudną jej wonią i ssać słodycz z listków czarownego kwiatu. Ale różyczka z wielką nieśmiałością odchyłała swe kielichy, co bardziej jeszcze zapalało serca motyli... A wesołe i zabawne było to grono; jeden tylko jakiś sentymentalny motylek trzymał się na uboczu. Spozrzegła go róża, i spodobał jej się smutek motylka. Anielcia, przyzwyczajona do ciągłego obcowania z bohaterami sentymentalnych romansów, uważała za konieczny przymiot ideału, aby na czole jego sroga dłoń losu lub niezaspokojone pragnienia serca wyryły piętno smutku lub rozpacz. Powiadają, że kobiety nie lubią nieśmiałych młodzieńców, lecz przeciwnie, cenią bardzo donżuanowską odwagę. Anielcia należała do wyjątków. Sentymentalny młodzieniec, ośmielony kilkoma ukradkowymi wejrzeniami dziewczęcia, zbliżył się zwolna i wtrącił do ogólnej rozmowy; a kiedy rozpierschł się na chwilę rój motyli, młoda para została sama. Rozmowa stała się bardziej ożywioną. Muzyka, poezycja, ideały, uczucia i inne piękne rzeczy dawały niewyczerpany do niej materal.

Anielcia w strasznie rozmarzonym stanie udała się na spoczynek. Sen przyniósł

jej wiele pięknych urojonych obrazów. Widziała tam bladą  
twarz młodzieńca o  
czarnych zamglonych smutkiem oczach. Szli razem przez  
jakaś piękną okolicę;  
błękit niebios uśmiechał się do nich jasną pogodą, a rój ptasząt  
śpiewał cudną  
pieśń miłości. Nagle pierzchnął sen uroczy, i dziewczę  
zamiast na poetycznej  
łączce, ujrzało się na prozaicznym łóżeczku.  
Wiesz pani zapewne, kto był tym sentymentalnym  
młodzieńcem, co tak zajął myśl  
Anielci. Poczciwy Gucio! Biedaczysko urodził się na  
kochanka. Od najpierwszych  
dni młodości kocha się zawzięcie. Złośliwi powiadają, że  
podobno dzieckiem  
jeszcze spoglądał sentymentalnie w oczęta jakiegoś  
ośmioletniego ideału. Dobry  
to zresztą chłopczyzna, tylko ma strasznie miękkie serce. Ile  
razy się zakocha.  
Jest najmocniej przekonany, że na całe życie, a skoro

uczucie gdzieś przepadnie, dowodzi, że to było tylko  
złudzenie, że dotąd nie  
kochał jeszcze prawdziwie, i że dopiero teraz zabiera się do tej  
czynności.  
Natura, to kobieca, chorobliwa, powiem nawet skarłowaciała.  
Człowiek ten nie  
jest zdolny do żadnego głębszego uczucia. A nietylko sercem,  
ale i wolą jest  
słaby. Młodym marzycielkom podoba się czuły młodzieniec,  
bo ma piękne

sentymentalne oczy i duszę idealno-romantyczną. Umie on poruszać w młodych serduszkach tajemną strunę uczuć, i dlatego złatwością je sobie zjednywa. Wszystko to robi z dobrą wiarą i szczerością, ale biedaczysko nie może długo zostawać u stóp jednego ideału; a często nawet jednym kolanem klęka przed Zosią, a drugim przed Karolcią. Anielcia pokochała! — Rozumiesz pani zapewne potęgę uczucia kobiety, która sercem tylko żyje, dla której miłość jest wyłącznym celem życia. Biednej zaślepionej dziewczynie zdawało się, że znalazła ideał, który od tak dawna w wrzącej duszy nosiła i w marzeniach wykołysała. Na kwiatach serdecznych uczuć wesoło mijały chwile szczęścia, opromienione wiosennem słońcem miłości. Cała dusza dziewczęcia spromieniła się w jedno uczucie — wrzące i potężne jak lawa pragnień młodzieńczych. Nie myślę opisywać pani całego przebiegu tych erotycznych dziejów. Jako towarzysz dni dziecięcych, byłem powiernikiem dzi wczęcia, i najdrobniejszy szczegół nie uszedł mojej bacznosci. Źle zrobiłem rzeczywiście, że nie postarałem się zedrzyć z jej oczu zasłony ułudy: ale nie miałem odwagi rozkrwawiać to biedne kochające serce. Zresztą widziałem jasno, że wyrwać ją z krainy tych marzeń, było to stargać na zawsze ducha całego. Spoglądałem więc na wszystko

okiem lekarza, który nie chce wykrajać rany z piersi biednej ofiary, aby wraz z nią życia nie wyrwać z łona. Z bojaźnią oczekiwałem smutnej katastrofy.

Nastąpiła ona wcześniej, niż się spodziewałem.

Było to na balu. Z boleścią dostrzegłem, że sentymentalny nasz motylek coś zdala od róży swojej krąży, i że natomiast jakaś biała lilijka wdziękiem swym go wabi.

Przy wyjściu, w ubocznym gabineciku ujrzałem młodą piękną kobietę. Gucio stał

obok niej. Twarz jego była ożywiona, oczy spoglądały sentymentalnie, i częste

westchnienia wyrywały się z piersi. Podeszedłszy, usłyszałem zakończenie rozmowy:

— Ale my tu dysputujemy — rzekła kobieta — a tam mama czeka i niecierpliwi się.

Biedaczka chora i musi wcześniej iść na spoczynek...

— O pani! — rzekł sentymentalnie Gucio — czyż tak nagle z cudnej krainy marzeń

mam zstąpić znowu na ziemię?!... czyż za ledwie

posmakowawszy z kielicha słodczy, mam oderwać od niego spragnione usta?!

— Trzeba się zawsze godzić z koniecznością ! — odpowiedziała

sentencyjonalnie kobieta.

— O jakżeż zimne to słowa, pani!

— Ale prawdziwe!

— O precz z prawdą, co serce nam oziębia!

Głos Gucia zadrżał wzruszeniem. Interlokutorka jego zabierała się, do odejścia.

— Pozwól mi pani towarzyszyć sobie! — rzekł błagalnie młodzieniec.

— I owszem! — odpowiedziała łaskawa bogini i podała rękę uszczęśliwionemu śmiertelnikowi.

Wtem, w sąsiedniej sali powstało jakieś zamieszanie. "Wody! wody!" — odezwało się kilka na raz głosów. Pobiegłem czempędzej. Na kozetce w objęciach matki spoczywała biedna marzycielka, której ideał tymczasem z nową, panią, serca swego opuszczał salę balową....

W kilka dni po tem zdarzeniu, siedziałem obok bladego dziewczęcia, starając się położyć balsam pociechy na zbolące serce. W zapale oratorskim przeszedłem do przeszłości, wspomniałem szczęśliwe chwile dzieciństwa naszego.

— O precz z tem wspomnieniem! — zawołała biedna kobieta — czemuż w owe dni świetlane, anioł marzenia spoczął na mej skroni, czemuż wskazał mi raj, którego wrota teraz na wieki zamknęły się przedemną?!

— I czemuż nie wskazał ci innych celów w życiu?! — zawołałem mimowoli z goryczą.

Suchotnica moralna nic nie odrzekła, tylko smutnie pochyliła głowę, i dwie łzy spłynęły po wybladłej twarzy...

— Cóż się więc stało z Anielcią — spytała mnie ciekawa interlokutorka. Może

umarła, lub dostała obłąkania zmysłów?...

— O nie, łaskawa pani! ale żywa ciałem, duchem do umarłych się liczyła. Szła jak blada mara po ciernistej drodze życia, z duszą złamaną, bez żadnego celu przed sobą. Wściekły huragan boleści, ucichł zwolna i legł na cmentarzysku

łzawej tęsknicy, a duch skarłowaciał w odrętwieniu....

— Smutna dola! — rzekła z goryczą moja interlokutorka.

— Dla rozproszenia smutnych myśli w główce pani, opowiem jej mną, weselszą trochę historyją. Czy zgoda?!

— Zgoda!....

\* \* \*

Znajdując się w pewnym towarzystwie, ujrzałem młodą, interesującą bardzo kobietę, na twarzy której, obok piękności, odbijał się wyraz dziwnej powagi i jakby spokojnego smutku. Będąc z natury wielkim fizyjonomistą, począłem bacznie przyglądać się nieznajomej.

— Kobieta ta musiała przejść smutne koleje losu — pomyślałem sobie. Duszę jej targała zapewne burza uczuć szalonych i zgasła jasne światło wesela, ale nie złamała potęgi uczuć i pragnień. I stoi dumny posąg, zahartowany w ogniu cierpień. Z czoła jego pierzchły złudzenia, zostało tylko poczucie

rzeczywistości, ale w tej rzeczywistości snąć ma przed sobą szlachetne cele życia, bo patrzy na nią okiem podniosłej dumy i serdecznego ciepła....

Medytacje moje przerwało wejście nowej osoby, w której poznałem jednego z najbliższych znajomych. Żywo zwróciłem się doń i po chwili zwykłej rozmowy, zapytałem niby obojętnie:

— Powiedz mi, mój drogi, kto jest ta pani w czarnej sukni, co siedzi tam na lewo w kątku.

— Jak to nie znasz jej?! — a toć to najzaciebiejsza kobieta w całej okolicy.

Młocie to bardzo, ale ma rozumu więcej od niejednego z poważnych mężczyzn. A co ona dobrego robi, to i zliczyć niepodobna. W dużym majątku swoim założyła

szkółkę dla dzieci wiejskich, sama czuwa nad ich wychowaniem; o starszych

wieśniakach również pamięta, wiele ważnych ulepszeń w życiu ich zaprowadziła;

dla wszystkich okolicznych obywateli jest pięknym przykładem, i do wielu ważnych

spraw dała inicjatywę: A cnotliwe to, jak święta jaka!....

— Ale powiedz mi, mój drogi — rzekłem zaciekawiony coraz bardziej — skąd ów

wyraz cichego smutku, rozlany na tem szlachetnem obliczu?

— O długie to dzieje... Wiele boleści i zawodów doznała ta biedna dusza....

— Opowiedz mi historję, tej kobiety!

— I owszem!... Udaliśmy się do osobnego gabinetu.

— Powiedz mi przede wszystkim — zawołałem żywo — -  
kto ona, jak się nazywa, czy  
jest panną, wdową, czy mężatką?...

— Panna Zofija W., bogata dziedziczka, nie ma rodziców, ani  
krewnych. Wychował  
ją chrzestny ojciec, kapitan C, człowiek najszlachetniejszych  
zasad i  
nieposzlakowanej uczciwości. Pod okiem takiego opiekuna  
wyrósł precudny kwiat,  
anielskiej białości, ku słońcu dumnie wznoszący swe kielichy.  
Ale niestety,  
pocziwy kapitan zmarł przed sześciu laty, i biedna sierota  
musiała iść dalej o  
własnych siłach. Potęga ducha, jaką umocnił ją na dro-

gę życia zacny i rozsądny opiekun, zahartowała się bardziej  
jeszcze w walce z  
losem.

Pomijając długie dzieje życia tej kobiety, przejdę wprost do  
najważniejszego  
wypadku, który pokrył na zawsze kirem smutku to dumne  
szlachetne czoło, ale nie  
złamał silnego ducha.

Na wieczorku u jednego z sąsiednich obywateli licznie zebrali  
się goście. Była w  
ich gronie i panna Zofija. Młodzież nietańcząca, do której, jak  
wiesz, i ja  
należę, zebrała się w oddzielnym pokoju, paliła cygara i  
wesołą toczyła gawędkę.

Był tam niejaki pan Stanisław K., młody prawnik, znany  
powszechnie ze



szlachetnego charakteru i nieposzlakowanej uczciwości.  
Mówiono w okolicy, że  
panna Zofija sprzyjała mu bardzo i przyklaskiwano jej  
wyborowi.

Nagle młodziutkie dziewczę, wbiegłszy do pokoju, przerwało  
wesołą, gawędkę.

Panienka była dziwnie zarumienioną i zmieszaną. Skinieniem  
główki dała znak

Stanisławowi, który też wyszedł z nią do drugiego pokoju.

Była to, jak się

później dowiedziałem, siostra młodego prawnika.

Powróciłem do salonu. Na progu spotkał mnie mój przyjaciel  
Kazio.

— Wiesz, co się stało? — zawołał żywo.

— Nie wiem! — odpowiedziałem zdziwiony.

— Bronisław w okropny sposób ubliżył siostrze pana  
Stanisława.

— Cóż jej takiego powiedział ?

— Nic nie powiedział, ale coś gorszego jeszcze zrobił.

Tańczyliśmy mazura.

Nagle w trzeciej figurze panna K. została na środku pokoju,  
sama jedna, bez

tancerza. Bronisław usunął się na bok, i zostawił biedne  
dziewczę w wielkim  
zakłopotaniu.

— Może zasłabł ?

— Broń Boże! Najspokojniej oddalił się i usiadł opodal na  
krześle.

— Cóż go skłoniło do podobnej niegrzeczności?

— Mówią, że panienka dała mu odkosza; postanowił więc  
zemścić się na niej w

jakikolwiek sposób.

— Nikczemnik! — zawołałem z oburzeniem.

— Będzie z tego zapewne jaka katastrofa. Brat nie daruje z pewnością obelgi, wyrządzonej publicznie siostrze.

W tej chwili oczy nasze zwróciły się na wchodzącego Stanisława. Twarz jego była blada i wzburzona. Zwrócił się do mnie i poprosił na stronę.

— Wiesz pan zapewne o postępkach pana Bronisława? — rzekł drżącym głosem.

— Wiem!...

— Proszę pana o ważną usługę! Nie mam tu nikogo z bliź-

szych znajomych, któremu mógłbym zaufać. Wiele dobrego słyszałem o panu, i dla tego udaję się do niego z zupełną ufnością. Skłoniłem się w milczeniu.

— Czem więc mogę służyć panu? — zapytałem po chwili.

— Będziesz pan moim sekundantem!...

— Nie śmiem odmówić tak słusznemu żądaniu. Młody człowiek serdecznie uścisnął mi rękę.

— Jutro wieczorem czekam na pana! Zawiadomisz mnie pan o rezultacie układów!

— Stawię się z pewnością!

Na drugi dzień zrana byłem u Bronisława, w południe u jego sekundanta, a

wieczorem cała rzecz była załatwioną. Za trzy dni miał się odbyć pojedynek.

W dniu naznaczonym, Zofija chodziła blada po pokoju, oczekując wieści o

rezultacie pojedynku. Nagle ktoś zajechał przed ganek.

Szybko zbliżyła się do

okna. Ja to przybyłem z wieścią o wypadku. Gdy wchodził, spojrzała mi z trwogą w oczy, jakby pragnąc wyczytać z nich wyrok życia lub śmierci. Milcząc, podałem jej rękę.

— O powiedz pan prędko, co się stało! — zawołała strwożona.

— Nic!... nic!... bądź pani spokojną! — odpowiedziałem zmieszany.

— O panie! w głosie twym czuć jakąś złowrogą nutę — rzekła z bojaźnią kobieta — o powiedz wszystko, jestem mężną!... Może zginął, lub jest ciężko raniony?!

— Bynajmniej!... Coś gorszego jeszcze!

— Cóż więc?! — zawołała ze zdziwieniem.

— Odstąpił od pojedynku!...

Kobieta spojrzała na mnie osłupiałym wzrokiem. Zdawała się z początku nie wierzyć tej okrutnej wieści. Wreszcie bolesny jęk wyrwał się z piersi nieszczęśliwej.

— Tchórz! nikczemny tchórz! — krzyknęła z rozpaczą i zemdlona upadła na ziemię.

Jeżeli chcesz wiedzieć zakończenie tej smutnej historii — rzekł do mnie mój

przyjaciel — przeczytaj te dwie oto kopije listów. Schowałem je sobie na

pamiętkę i przypadkiem mam dzisiaj przy sobie.

Z ciekawością pochwyciłem z rąk przyjaciela dwie kartki papieru i wybiegłem do

sąsiedniego pokoju, aby je w cichości przeczytać.

Pierwszy list brzmiał w następujący sposób:

"Najdroższa!

W okropnem świetle musiano mnie przedstawić tobie. Jeżeli  
postąpiłem  
niehonorowo, to jedynie przez miłość dla ciebie. Dla

ciebie jednej chciałem żyć jeszcze! Jako wyzywający, miałem  
prawo cofnąć  
pojedynek. Niehonorowość więc czynu mego jest dosyć  
względna. Zresztą  
niegrzeczność Bronisława nie uważam za zbyt wielką obelgę.  
Niech mnie cały świat  
potępi, ty mi jedna tylko przebacz, aniele!  
Twój na zawsze  
Stanisław"

Treść drugiego listu, który był odpowiedzią, na pierwszy,  
brzmiała w następujący  
sposób:  
"Panie!  
Na bezczelne usprawiedliwienia się jego odpowiem to tylko,  
że nie myślę  
przyjmować życia, tak drogo okupionego. Zachowaj je pan dla  
innej, godniejszej  
odemnie!  
Zofija."

\* \* \*

— Cóż pani sądzisz o postępku Zofii? — zapytałem nadobnej  
interlokutorki mojej.

— Każda z nas uczyniłaby to samo!

— Nie zaprzeczam! — ale coby było później?! Jak Aniela szłaby przez drogę życia ze złamaną duszą!  
— O nie, poszukałaby sobie lepszego ideału!  
— Bardzo pięknie! — nie mam nic przeciwko temu!.... Ale gdyby to było tak potężne uczucie, że na gruzach jego inne już powstaćby nie mogło?... A taką właśnie była miłość Zofii i Anieli, lecz jakżeż różnemi później poszły drogami!.. A dla czego?... Bo pierwsza żywiła w piersi inne jeszcze pragnienia, inne cele miała przed sobą!  
— Rzeczywiście! to bardzo piękna zasada, przyklaskuję jej z całego serca!  
— Przyznajesz więc pani, że miłość nie powinna być wyłącznym celem życia kobiety?  
— Przyznaję!  
Nie wiem, co na to odstępstwo od pierwotnych zasad nadobnej interlokutorki mojej powiedzą łaskawe czytelniczki!...

### III. BŁĘDNE OGNIKI.

Jedną z najprzyjemniejszych dla mnie czynności jest spokojna obserwacja psychiczna. Czy to w gronie towarzyskim, czy w miejscu publicznem, czy na ulicy

nawet, zwykłem poświęcać się tego rodzaju medytacjom.

Najdogodniejszym dla nich

miejszem jest Ogród Saski. Siedząc na ławce, ścigałem

zwykle oczyma każdą twarz

wybitniejszą, tworząc sobie w duchu różne typowe obrazy.

— Coś taki zamyślony? — rzekł raz w podobnej chwili

podchodząc ku mnie jeden z

przyjaciół. Aha! widzę! — to te dwie blondyneczki, co siedzą

naprzeciwko,

absorbują tak uwagę twoją, że nie dostrzegasz nawet

przechodzących znajomych!

— Być może! nie zaprzeczam! — odrzekłem z uśmiechem —

nie sądz jednakże, aby

jaki ulotny amorek spoczywał w tej chwili na zadumanem

czole mojem.

— Broń Boże! to tylko odbywasz zapewne studia

estetyczne, lub w modrych

oczętach szukasz natchnienia poetycznego!

— I to nie! — robię obserwacje psychologiczne! Przyjaciel

mój roześmiał się

głośno.

— Nie śmiej się! — rzekłem urażony nieco — mogę ci

zareczyć, że mówię prawdę!

— No więc powiedz mi, łaskawy psychologu — zapytał,

siadając obok mnie

przyjaciel — coś wyczytał w tych nadobnych twarzyczkach i

modrych oczętach,

które też od czasu do czasu ukradkiem zerkają na ciebie?...

Ale... ale... —

przerwał nagle — czy mnie oczy nie mylą, toć to chyba panny

P..., Różia i

Andzia.... tak.... tak.... to one!...

Młody człowiek skłonił się uprzejmie siedzącym naprzeciwko kobietom, za co obie obdarzyły go lekkim skinieniem główki i słodkim uśmiechem.

— Więc znasz te kobiety ?!

— Jak najlepiej!

— A to cię chyba nieba tu zesłały. Rozwiążesz mi wiele zagadek, których moje obserwacje psychologiczne nie rozjaśniły należycie.

— I owszem!

— Ta z prawej strony, starsza, zdaje się, ma w oczach jakiś sentymentalny wyraz marzenia, jakby pragnienie czegoś nieokreślonego....

— Owszem, pragnienia jej są bardzo określone: biedaczka chce gwałtem zostać poetką. Pisze wiersze, których żadne pismo drukować nie chce.

— Niestety! choroba to rozpowszechniona bardzo pomiędzy młodemi panienkami i absorbuje wiele niewyrobionych sił ducha. I cóż mi więcej powiesz o pannie Róży?...

— Nic! — to tylko chyba, że wiecznie pragnie czegoś... tęskni... sama nie wie, za czym.... Ale... ale... — rzekł wesoło, przypomniawszy sobie, że powtarza tylko moją obserwacją — widzę, że w samej rzeczy jesteś niezłym psychologiem.

— Dziękuję ci za słowa uznania! — odrzekłem z uśmiechem — i na dowód powiem, że

znam już tę osobkę lepiej od ciebie. Mógłbym opowiedzieć  
całe dzieje rozwoju jej  
duchowości...

— Ciekaw jestem... słucham!...

— Przedewszystkiem, przyznać trzeba, że tego rodzaju istoty  
stoją wyżej od  
całego tłumu drzemiących dusz kobiecych... Natura wlała w  
ich piersi pewne  
wyższe pragnienia. Są tam niemałe siły duchowe, które, w  
właściwym wyrobione  
kierunku, mogłyby wydać dosyć obfite owoce. Ale nie było  
snać dłoni, któraby  
niemi należycie pokierowała. Skarłowaciał więc kwiat uczuć i  
myśli, bez żadnego  
owocu na przyszłość!... Ale... ale... powiedz mi też coś o jej  
siostrze. Mają  
one wiele podobieństwa w wyrazie twarzy, z pewną jednakże  
różnicą. U Róży  
pragnienia ducha są bardziej ciche, zamknięte w sobie; u  
Andzi zdają się one z  
większą siłą wylewać z piersi, pchając na drogę czynu i....  
— Sławy! — dokończył za mnie mój przyjaciel — zgadłeś  
mój drogi! Kobieta ta  
pragnie sławy, wielkiej sławy. Jako recenzentowi teatralnemu,  
musi ci być nie  
obce jej nazwisko....  
— Rzeczywiście!... przypominam sobie... Więc to owa  
nieszczęśliwa debiutantka,  
co po pierwszych porywach na wyżyny sztuki, upadła.... bo  
zabrakło jej  
prawdziwych skrzydeł artyzmu.  
— Tak!... ale niepowodzenie nie zraziło jej zupełnie. Laury  
Talmy spać jej nie



dają!

— Biedna!... Pierwsza próba żadnej nie daje nadziei. Ma pewne braki naturalne,

których najusilniejszą pracą usunąć niepodobna.

— Powiedz mi, co będzie z takich kobiet?

— Nic, wielkie nic!... Smutne to dzieje bezowocnych porywów ducha, wiecznie nieugaszonych pragnień, wreszcie zwątpienia, apaty i śmierci moralnej!.. Czemuż natura złożyła w ich piersi siłę żądz wielkich! O stokroć lepiej, gdyby duch ich pozostał w skorupie niemowlęctwa, w której tylu towarzyszkom ich tak dobrze na świecie-

cie! Czemuż rwą się w sferę duchowej działalności, gdzie tylko błędne chwytają

ogniki!... Czemuż nie dopatrzono tych sił, które teraz daremnie nurtują w ich

łonach i nie rozwinięto ich w właściwym kierunku. Nie

rwałyby się do świątyni

sztuki, gdzie niema dla nich miejsca, ale poszłyby za głosem powołania...

Wprowadzono je na manowce. Niezdolne odnaleźć właściwej drogi, bo brak im

promieni światła, tylko błędne nęcą ogniki!... Zresztą, jak mało dróg mają przed

sobą! — inne zamknęła przed nimi dłoń wiekowego przesądu!

KONIEC.

